

Dwaj panowie S., czyli rozmowy o literaturze i nie tylko

(Dokończenie ze strony 4)

wiązującymi konwencjami; „choć na takiego, co dał dupy nie wyglądam” – i znowu ten nieprzy- stojący nowoczesnemu poecie optymizm, panie Dycki; wiersz XLVIII opisuje za pomocą banalnej i cienkiej jak ciasto ryżowe metafory trzymanie męskiego przyrodzenia w garści, po czym pojawia się propozycja spuszczenia do ust przyjaciela, w konsekwencji jednak wytrysk następuje na sprzęty w pokoju, a kończy Dycki radosnym „hej hej”; tomik zamyka wołanie do Boga „uczyni mnie uczyni poetą” – no, przynajmniej tyle rozumie nasz laureat, że poeta nie jest, chociaż podejrzewam, że to fałszywa skromność, poprawna politycznie i obliczona na zyskanie sympatii czytelnika. Nie wiadomo natomiast, co z sympatią Boga, chociaż historia dowodzi, że wielu „zboków” Najwyższy obdarzył łaską talentu – Kawafis, Pessoa, Whitman, to pierwsi z brzegu. Cóż, pożyczmy, zobaczymy. Ja na razie nie jestem tak entuzjastycznie nastawiony do twórczości Dyckiego jak fundatorzy nagrody i, oczywiście, jury, ale też nie otrzymałem żadnej gratyfikacji, żeby mówić pochlebnie – bo, jak rozumiem, praca jury nie jest wolontariatem? Swoją drogą, to ciekawe, czy tym podpisującym się pod werdyktem ludziom nie jest głupio. A może oni naprawdę uważają, że Dyckiemu należy się nagroda? Trudno mi w to uwierzyć, bo podobno skończyli studia. Z dwojga złego chyba wolę wersję, że robią to z innych niż szczerze przekonanie pobudek.

Jan Siwmir: – W innej interpretacji to nie Boga prosi o uczynienie go poetą, ale woła: świecie uczyni mnie uczyni poetą. Świat w osobach kolegów, jak widać stanął na wysokości zadania. Czy to wystarczy Dyckiemu, żeby patrzeć bez bólu w lustro? Zapewne tak. Czy wystarczy, żeby przejść do historii? Ano, zobaczymy, bywa ona niepodatna na towarzyskie względy. Natomiast ja mam do Ciebie dwa pytania. Pierwsze brzmi: czy naprawdę sądzisz, że po krytycznej ocenie twórczości swojego kompana – jakiej dokonał chociażby Tomasz Jastrun w „Przeglądzie” – koledzy Dyckiego zaczną bić się publicznie w piersi, gromko wołając: „tak, to prawda, wiersze ma mierne, ale daliśmy mu nagrodę, bo taki z niego fajny i nieszczęśliwy kolega”?

Tomasz Sobieraj: – To się nie zdarzy. Koledzy są silni, mają poparcie ministerstwa kultury, mediów, są lojalni, i prędzej zjedzą Tomasza Jastruna, nawet dławiąc się guzikami jego marynarki, albo ponownie obrzucą mi śnieżkami okna, niż opuszczą towarzysza.

Jan Siwmir: – A czy uważasz, że warto zajmować się tego rodzaju „literatami”? Czy nie szkoda na to czasu?

Tomasz Sobieraj: – Mówi Pismo: „Jeśli nie my, to kto? Jeśli nie teraz, to kiedy?” – sprawa jest prosta: jeśli nasze, podatników pieniądze, idą na tych „tfurców” kultury, to musimy się tym zajmować i wskazywać ludziom, na co są przeznaczane ich podatki. Państwo, w tym ministerstwa i inne instytucje publiczne, mają służyć nam, a nie my im. Kolejna rzecz: partyzantka,

jaką uprawiamy, może w dalszej perspektywie spowodować przywrócenie do literatury przy- należnych jej wartości i odwrót barbarzyńców – tym bardziej, że robimy to już jakiś czas i są pierwsze jaskółki, pierwsze ważne głosy podobne do naszych – jak chociażby artykuł Leszka Bugajskiego „Polska literatura jak PZPN”. Wielu chętnych do tej roboty nie ma, bo potrzebna jest odwaga, a można wiele stracić.

Jan Siwmir: – Chętnych nie ma, fakt. Dobrze, dajmy przykład innym, ciągnijmy tę autopsję środowiska literackiego. Poznajmy chore tkan- ki, zlokalizujmy zrakowaciałe guzy, wskaźmy je studentom, niech się przyjrzą. Przynajmniej będziemy mieli świadomość dołożenia małej cegiełki do budowania zrębów poważnej krytyki literackiej, zbliżonej chociażby do jej najlep- szych, międzywojennych wzorów. Takiej krytyki z prawdziwego zdarzenia, soczystej, konkretnej, bezwzględnej wobec artystycznej nędzy, a nie takiej, jaka obecnie króluje: wylizanej i ugrzecznionej wobec uznanych i popularnych autorów oraz piszących kolegów, głupawej i złośliwej wobec pisarzy i poetów szerzej nie- znanych, wśród których najczęściej, czego dowodzi historia, znajdują się Schulze i Hölder- liny.

Tomasz Sobieraj: – A co z Dyckim? Do kosza?

Jan Siwmir: – Do kosza.



Rys. Barbara Medajska

Achtung, Banditen! Czyli polskie podziemie – między Żelowem a Pabianicami

(Dokończenie ze strony 11)

W pewnym jednak momencie, w sklepie nale- żącym do Kaufmanna, na ulicy Heer Strase – (Ulica wojskowa – aktualnie ul. Rzgowska przy obecnym placu Niepodległości) pojawiły się autentyczne petardy. Były to wielowarstwowe, papierowe rurki wyraźnie grubsze od ołówka, wypełnione czarnym prochem i zaopatrzone w lont. Miały służyć do hałaśliwej, „hucznej” zabawy i te właśnie petardy zaczęli wykupywać chłopcy – Andrzej i Olek.

Pierwszy zakup był bardzo skromny, wynosił zaledwie kilka sztuk, ale wkrótce mali szmuglerzy, rozbestwili się na dobre, bo na którąś kolejną wyprawę zakupili aż pięćdziesiąt petard. Pomysł na taki zakup był – wydawać by się mogło – chybiony, bo reszta wyrostków na wsiach wahała się, nie mogąc się zdecydować na zakup, gdyż cena była rzeczywiście wygórowana – po marce za sztukę.

Decyzję podjął Andrzej, obdarzony wybujałą intuicją, bo mimo ogromnej marży, wynoszącej sto procent, miał wątpliwości, czy ten ładunek da jakiś zysk.

U celu podróży gospodarz domu na Dąbrowie zapytał, co mają do sprzedania?:

– Ano petardy... – odparli, co wcale nie wywo- łało entuzjazmu obecnych.

Nie tuż jednak nawet piętnaście minut, a w izbie pojawił się wysoki, młody mężczyzna i natychmiast zapytał:

– Kto tu sprzedaje petardy?

– My – odpowiedział Andrzej.

– Po ile je sprzedajecie?

– Po marce za sztukę...

– A ile macie tych petard – pytał dalej mę- czynna.

– Pięćdziesiąt.

Wówczas przybysz bez słowa wydobyl z kie- szeni pięćdziesiąt marek, wręczył Andrzejowi, i za moment, opuścił wraz z petardami izbę.

Obaj chłopcy byli zadowoleni i zdziwieni. Andrzej przez moment żałował, że kupił tylko tyle tych petard, ale ktoś mógł wiedzieć, że trafi się taka gratka. Zdarzenie to obudziło pewne nadzieje na przyszłość i po dwóch dniach Andrzej spytał gospodynię domu, jak się nazywa i gdzie mieszka ten osobnik? Odpowiedź całkowicie go zaskoczyła.

– Niestety, nie wiem... Ja go pierwszy raz wi- działam na oczy... I tu, w ogóle, nikt go ni zna... – No tak, ale minęło, co najmniej trzy miesiące, kiedy chłopcy wreszcie się domyśliли, że nabywca za takie pieniądze, takiej liczby petard, był z pewnością partyzantem. Bo też, co prawda, jedna petarda mogła służyć najwyżej do zabawy, ale wiązka dziesięciu, piętnastu, czy dwudziestu petard, umiejętnie użyta, mogła uszkodzić, a nawet zniszczyć samochód pancerny.

Spośród innych zdarzeń należałoby wspo- mnąć o spotkaniu bosego mężczyzny z karabi- nem w ręku. Wyszedł on z niezbyt wielkiego lasu na trasie Buczek-Łask i bez słowa minął chłop- ców. Innym znamiennym zdarzeniem, było spot- kanie trzech niemieckich żołnierzy pod koniec czterdziestego czwartego roku w Żelowie, którzy zagadnęli chłopców, o dziwo, po polsku: – Czy nie widzieli wjeżdżających w jakieś podwórze wo- zów?

I to byłoby chyba wszystko.

Warto też zauważyć, że ludzie mówiąc o partyzantach, podkreślali na ogół, że widzieli lub słyszeli o nich, gdzieś dalej; przeważnie w nie- określonym czasie i nieokreślonej okolicy.

No tak, ale czemu Niemcy tak bardzo obawia- li się partyzantów – czyli, „bandytów”?... Czemu mieli aż takiego „pietra” – i przeczornie dodawali sobie animuszu hasłem: – „Achtung, Banditen”!

Nie bez kozery można by powiedzieć, że strach ma wielkie oczy. Zasłyszane, budzące strach opowieści, wyolbrzymiali do gigantycz- nych rozmiarów, bo dotknięty niemiłym zdarze- niem człowiek zwykł dmuchać na zimne, nie licząc faktu, że podziemie działało i co dla Niem- ców najgorsze, było nieuchwytnie.

JERZY MARCHOWECKI